

bolo'bolo

p.m.

Oryginalny pomysł stworzenia tego dziwnego, sekretnego języka powstał, ponieważ europejska terminologia lewicowa straciła już swoją moc. Obecnie, gdy ludzie rozmawiają o komunizmie, to wszyscy mają na myśli Gułag i nikt już więcej nie chce o tym słuchać. Lub, gdy ludzie rozmawiają o socjalizmie, wtedy rozmawiają o polityce Schrödera, czyli cięciach emerytalnych, a tego też nikt nie lubi. Inne standardowe wyrażenia lewicowe jak „solidarność”, „społeczność” są już także skażone i zupełnie bezużyteczne. Ale idee, które za nimi stoją, są de facto bardzo dobre. A ja nie chcę cierpieć z powodu terminologii, za którą nie ponoszę winy. W zamian wytworzę swoją własną. Myślę, że dłużej bytoby tłumaczyć, że komunizm, o jakim ja mówię nie ma nic wspólnego z tym, co ja widziałem. Łatwiej jest po prostu powiedzieć, że wolę *bolo'bolo* i wtedy każdy zaczyna myśleć od nowa, przemyśliwać stare jeszcze raz.

Urodziłem się w Szwajcarii i mieszkam w Zurichu. Moim głównym zajęciem jest nauczanie w szkole średniej, ale w wolnym czasie zawsze byłem politycznie aktywny. Jestem starym aktywistą z lat sześćdziesiątych. Brałem udział w demonstracjach przeciw wojnie w Wietnamie oraz wszelkich innych protestach. Później okupowałem domy i brałem udział w ruchu antynuklearnym. Byłem po trosze zaangażowany we wszystko, co się działo. I kiedyś, w pewnym momencie, cały ruch zamarł. Nadal w Zurichu ruch okupowania domów był jakoś tam aktywny, wiem, że także w Genewie, ale powoli uczestnicy tego ruchu byli pokonywani przez policję. W końcu nie zostało nic. Pojawiła się dość depresyjna atmosfera, co się często zdarza po takich cyklach aktywności. Wtedy powiedziałem: „Będę zapisywał wszystko, co uważamy za

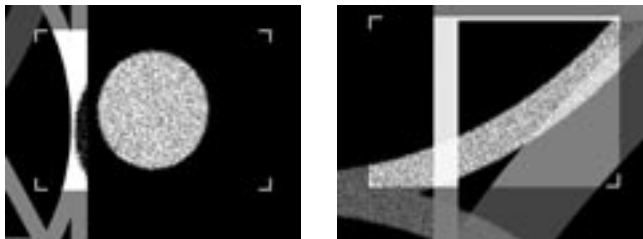
Transkrypcja zapisu wideo O. Resslerera, nagranych w Zurichu, Szwajcaria | 24 min., 2004

ważne”. Stworzyłem listę życzeń, jak na Gwiazdkę, długą listę rzeczy, które nadal można uważać za istotne i cenne.

Następnie przyjrzałem się tej liście i zauważyłem, że wygląda ona dość nudno. Przykładowo, takie rzeczy jak „chcemy żyć razem w poczuciu solidarności”, „nie chcemy żadnego wzrostu ekonomicznego” czy „chcemy szanować środowisko naturalne”. Wszystkie te nudne socjoekologiczne banały, które można znaleźć w programach jakiegokolwiek partii. Chciałem to trochę odkurzyć i pomyślałem sobie, dobra, wymyślę sobie utopię. Ale to nie jest wcale utopia. Znam te wszystkie utopie. Jest pewien urok w tym, jak są przedstawiane. Ale byłem także bardzo zafascynowany zanurzeniem się w inne światy z ich własnymi terminologiami. Myślałem: „Mogę te rzeczy sprzedać ludziom o wiele lepiej. Te wszystkie życzenia, jeżeli tylko zamaskuję je utopiami”.

W tym celu wymyśliłem ten język, *bolo'bolo*. Oznacza to nic innego jak komunizm. Jest to zwykłe tłumaczenie, oparte o systemy dźwięków polinezyjskich. Byłem raz na Samoa i bardzo mi się tam podobało. Występują tam resztki względnie dziewiczych społeczności i na tej bazie powstała moja książka.

Chcę zwrócić uwagę, że w książce nie ma nawet jednej nowej idei. Wszystko w niej zostało przeze mnie odnalezione. Do *bolo* można podejść z różnych stron. Na poziomie podstawowym, jak ludzie mogą żyć razem, całkiem sensownie, bez dewastacji planety, szargania nerwów czy szkodzeniu swojemu potomstwu. Jedną z metod jest komunikacja. Jeżeli ludzie nie mogą rozmawiać racjonalnie ze sobą, wtedy zależni są od władz wyższych. W celu wprowadzenia elementów komunikacji muszą mieć kogoś nad sobą. Rozumiemy, przykładowo,



teorię komunikacji, która mówi, że komunikacja może funkcjonować nieformalnie w grupie do około 150 osób, co oznacza, że w takich warunkach zdefiniowana struktura nie jest konieczna. Ponieważ komunikacja w takich warunkach jest taka łatwa, mamy więcej argumentów, niż to konieczne. Dlatego zasugerowałem podstawową jednostkę, zgromadzenie, którego liczba uczestników musi być znacząco wyższa niż 150. Uważam, że 500 nie byłoby źle, no może 400, 600, 700 czy 800. Następny próg musi istnieć przy liczbie około 1000, powyżej której niezbędni są delegaci dla zapewnienia lepszej organizacji systemu.

Taka administracja wymagałaby komitetu oraz odpowiedniego poziomu profesjonalizmu. Dochodzimy tutaj do realiów, niezbędnej struktury biurokracji. Nie lubię tego. Wysiłki szybko rosną, ponieważ biurokrację trzeba kontrolować tak, aby sprawnie działała na wyznaczonym obszarze. A te organy kontrolne są dość podatne na korupcję i je także trzeba monitorować. System się komplikuje. Według mnie idealnym rozwiązaniem dla sensownej organizacji społecznej to wielkość, jej powiedzmy, między 150 osobami a grupą 1000 osobową, która jest już na granicy sensownej wielkości. Musi być coś pomiędzy.

Inne podejście może być oparte bardziej o ekologię. Problemy ekologiczne planety koncentrują się na Północy, gdzie musimy stosować ogrzewanie i gdzie zbudowaliśmy miejski styl życia, wymagający np. transportu samochodowego. Przyjmijmy, że chcielibyśmy to zmienić, chcielibyśmy obniżyć zużycie energii do poziomu globalnie akceptowanego, czyli około jednej piątej obecnego zużycia. Nie mówię o Południu, oni już obecnie zużywają

100 razy mniej energii niż my na Północy. W tym sensie oni nie mają problemu, być może nawet mają problem przeciwny. Musieliby zwiększyć zużycie energii, aby dojść do poziomu 20% obecnego światowego zużycia.

Ale gdybyśmy chcieli zużywać mniej energii, nie jest wtedy możliwe utrzymanie samochodów i jednorodzinnych domów. Ludzie musieliby mieszkać w domach wielorodzinnych. Należy zastanowić się nad rozmiarem domu tak, aby można go najłatwiej ocieplić oraz by był jak najtańszy w ogrzewaniu. Domy staną się coraz bardziej kompaktowe, ponieważ wtedy relacja powierzchni zewnętrznej do pojemności domu jest najbardziej wydajna. Tak jest na Północy. Na przykład w USA, ludzie z małych domków na przedmieściach musieliby przeprowadzić się do „pałaców dla ludzi”, czy „eko-pałaców”, które łatwiej ogrzewać. Zawsze powtarzam, że można stworzyć typologię, która będzie zbyt konkretna, ale wy oczywiście musicie ironizować. Wszyscy musimy mieszkać w domach ośmiopiętrowych, długich na 100 metrów i szerokich na 20 m! Ale takie betonowe monstrum jest w rzeczywistości ekologiczną koniecznością.

Zawsze w tym miejscu zaczynam z tym miejskim, zachodnim *bolo*. Nigdy innym ludziom nie mówię jak mają się zorganizować. Po prostu podaję Szwajcarię jako przykład, ale przykład ten można rozciągnąć na całą Europę Zachodnią. Jak zorganizować rolnictwo w połączeniu z tymi miejskimi strukturami? Moja sugestia, zresztą nie tylko moja, ale także wielu osób, które studiowały ekologię i agronomię, byłaby następująca: w Europie Zachodniej, dla zapewnienia dostaw żyw-

ności dla takiego *bolo*, potrzebowalibyśmy około 90 hektarów ziemi. Biorąc pod uwagę średniej wielkości miasto, jak np. Zurich, te 90 hektarów można znaleźć w promieniu 30 km dookoła miasta. Taki teren jest dostępny przy założeniu, że nie wybetonujemy tych obszarów w jakiejś najbliższej przyszłości. Można by zupełnie schematycznie rzecz ujmując, przypisać każdemu *bolo* farmę 90 hektarową. Jest to hojna kalkulacja, skoro w Szwajcarii farmy mają średnią wielkość około 15 hektarów, a w Austrii są być może trochę większe. Mimo, że wydzielamy względnie duże obszary, nie oznacza to, że musimy je całe uprawiać. Byłyby to wewnętrznie różnorodne struktury, gdzie można by produkować wszystko od – ziemniaków po mleko. Prowadziłoby to do raczej dobrej wydajności ekologicznej, skoro mała ciężarówka czy wagon w pociągu musiałyby przemieszczać się między miastem a obszarem uprawnym powiedzmy raz na tydzień. W drodze powrotnej można by transportować kompost.

Można wypracować system, że osoby mieszkające w *bolo* pracowałyby także w oddziałach rolniczych. Byłoby to dużo bardziej wydajne niż dzisiejsze systemy dostaw do supermarketów, w których mamy do czynienia z całą armią pośredników, transportem, centrami dystrybucji, także wewnątrz supermarketów i na koniec to ja i tak muszę udać się do tego supermarketu. Każde *bolo* byłoby supermarketem, ze zróżnicowanym obszarem, wystarczająco dużym, aby wydajnie prowadzić uprawy. Nie można kontynuować rolnictwa na sposób dzisiejszy, ponieważ działa ono w dużej mierze w oparciu o wielki nakład ropy, chemikaliów i innych rzeczy. Niezbędne jest mieszane rolnictwo biologiczne, gdzie miesza się różne rośliny w tym samym obszarze, tak, aby nawoiliły się nawzajem. Nie, jak te gigantyczne i monokulturowe pola, czegoś takiego już by nie

było. Ale takie mieszane rolnictwo wymaga dużo więcej pracy, może nawet trzy razy więcej, niż obecne, co też ma swoje bardzo dobre strony. Ale to nie tak dużo, skoro w Szwajcarii, rolnictwo to około 3% zatrudnienia, tak, więc w nowym systemie byłoby to jakieś 10%. W międzyczasie wszystkie banki przestałyby funkcjonować i byłoby dużo rąk do pracy.

To co opisałem, to pewien system, ale ja zrobiłbym go jeszcze bardziej różnorodnym. Być może byłoby przyjemniej, gdyby różne *bolo* w różnych sekcjach uprawnych wymieniały się tak, aby nie konsumować ciągle tego samego. Niektóre rzeczy można wymieniać w skali światowej. Przykładowo przyprawy, które są bardzo lekkie i wydajne, czy oliwa z oliwek, orzeszki, daktyle czy sery, kielbasy, wino. Są to wszystkie produkty wysoce lokalne i nie istnieją ekologiczne restrykcje, co do ich transportu.

Najprostsza forma wymiany to prezent. Jest to także najbardziej niebezpieczna forma, przede wszystkim dla odbiorców. Taka wymiana jest możliwa, jeżeli ktoś jest względnie niezależny. *Bolo* posiada podstawową niezależność. W Szwajcarii mamy takie powiedzenie: „Wystarczająco niezależny, aby być hojny.” W myśl teorii Marksa nie ma potrzeby, aby szczegółowo badać fakt, czy daliśmy za dużo w sensie wartości. Istnieje szeroka gama prezentów. Przyjmując, że *bolo* istnieją wszędzie, rozdawanie podkreśla pewien rodzaj honoru tych *bolo*, co oznacza, że one same także otrzymują coś w zamian. Byłaby to ważna forma wymiany, która nie jest szczególnie przypisana jakiemukolwiek produktowi. Można rozdawać wszystko, czas, wiersze czy cokolwiek.

Prawdopodobnie, najważniejszą formą w tym systemie jest to, co ja nazywam permanentną umową o wymianie. Nazywam to *feno*. Oznacza to, że obowiązują kontrakty co do wymiany między sąsiadującymi *bolo*. Gdyby to skonkretyzować na warunki szwajcarskie to

mielibyśmy: wy naprawiacie nasze okna, ponieważ macie zakład szklarski. Zatem nie każde *bolo* musi taki zakład posiadać.

Na jeszcze wyższym poziomie widziałbym trzecią formę wymiany, którą nazywam sąsiedzką czy miejską hurtownią. Można to nazwać socjalizmem lub komunizmem. *Bolo* jednego miasta – w całości – potrzebują dóbr, których same nie są w stanie wyprodukować lub, których potrzebują tylko okazynie. Posiadają na przykład centralną hurtownię maszyn i gdy potrzebują konkretnej maszyny, biorą ją stamtąd. Byłyby to więc usługi komunalne, tak jak to ma miejsce obecnie w przypadku wody, elektryczności oraz pewnych produktów, takich jak sól czy cukier, które są pożądane w wielkich ilościach i które muszą być jakoś centralnie dostarczane. Można by je dystrybuować za darmo, skoro i tak każdy potrzebuje tych produktów tyle samo. To można wprowadzić nawet dzisiaj.

Po pierwsze, socjalizmem czy nawet komunizmem nazwałbym sytuację, gdy każdy bierze, co potrzebuje, a produkuje co może. Oczywiście byłby wariant z wymianą pieniędzy, to też miałoby miejsce, ponieważ uważam, że pieniądze są ważne w przypadku dóbr, które nie są zbyt często w obrocie, które są specjalnie wykonywane na indywidualne zamówienia. Najbardziej efektywnie system taki działałby na poziomie sąsiedztwa, dystryktów, wsi czy miast tak, aby było miejsce na wydajne rynki i bazy, gdzie ludzie mogliby przynieść takie rzeczy jak biżuteria, ubrania, płyty CD, dzieła sztuki, specjalne substancje, leki, kosmetyki czy inne interesujące rzeczy. Mogliby być członkami *bolo* lub podróżować jako sprzedawcy i w tym systemie jest miejsce na pieniądze. Rodzaj waluty naprawdę nie ma znaczenia, może to być waluta lokalna czy globalny dolar, czy też karty kredytowe. To jest naprawdę bez znaczenia. Pieniądze jako obiekt nie są groźne. Uważam, że pieniądze są groźne tylko wtedy,

gdy mają możliwość rozwinąć swoją własną dynamikę w jakimś sektorze, jak np. dostawy żywności.

Jeżeli już osiągnęliśmy takie warunki ekologiczne jak na przykładzie 20% konsumpcji energii, nadal byłoby parę samochodów w okolicy. W *bolo* mogłoby być powiedzmy 20 samochodów, które ludzie mogliby wynajmować. Byłaby to wystarczająca liczba biorąc pod uwagę, że korzystać z samochodu każdy musi tylko raz na jakiś czas. Niemniej, korzystanie z tych samochodów byłoby praktycznie bezprzedmiotowe, skoro praktycznie nie będzie powodów do jeżdżenia gdziekolwiek. Oznacza to, że liczba samochodów zmalałaby 10-cio krotnie, przemysł samochodowy byłby prawie na skraju bankructwa razem z bankami, które tą gałąź przemysłu finansują. Równocześnie upada i już nie istnieje branża wydobycia ropy naftowej. Wtedy przemysł produkujący sprzęt AGD też się proporcjonalnie kurczy, ponieważ można pracować swoje rzeczy w jednej pralni w całym *bolo*, co jest osiem razy bardziej wydajne niż pranie w zwyczajnej pralce. Cały sprzęt elektroniczny służący do rozrywki, jest dostępny, ale w dużo mniejszych ilościach. Tak naprawdę przemysł nowoczesnych technologii zostanie zredukowany tylko w kontekście konsumpcji. Wszystkiego trzeba nam w proporcjach o 10 razy mniejszych.

Pozostaje nam jeszcze tylko jedna kwestia, dotycząca tego, gdzie i jak należy produkować całą resztę rzeczy w sposób najbardziej wydajny. Odpowiedź w tej kwestii jest zupełnie jasna – wewnątrzkontynentalnie. Przykładowo ciężarówka byłaby wytwarzana w jednym miejscu, powiedzmy na południe od Warszawy, dla wszystkich *bolo* czy miast pomiędzy Uralem i Atlantykiem. W fabryce produkowałoby się tylko moduły. Produkowano by moduły duże, średnie i małe oraz silniki, a w *bolo* czy miastach ludzie składaliby moduły według własne-

go zapotrzebowania. Taka sytuacja ma obecnie miejsce w krajach Trzeciego Świata. Wszystkie autobusy publiczne są tam składane. Buduje się tam ramy i podwozia, a silniki i skrzynie biegów są dostarczane, co jest technologią bardzo efektywną. Jakby to miało działać? Wykorzystałbym w tym przypadku pieniądze, trzeba by za moduły płacić.

Oczywiście można zapytać: Jak można nabyć pieniądze? Jest oczywiście tylko jedna opcja, albo się je kupuje albo ma się na nie jakąś kwotę. Potrzebujemy pewnej liczby ciężarówek i wtedy pracownicy, którzy wytwarzają ciężarówkę, zostają pośrednio opłacani pieniędzmi, chociaż tak naprawdę zbyt wiele ich nie potrzeba. Jeżeli to konieczne, to można nabyć pieniądze, sprzedając część produktu, część siły roboczej czy część produktów rolnych. Automatycznie powstaje wtedy rynek wewnątrzkontynentalny.

Gdy ludzie mieszkają blisko siebie, występuje wtedy wewnętrzna kontrola społeczna, która nie wymaga żadnego zorganizowanego wsparcia. I znowu ktoś zapyta: Co ty znowu chcesz wymyślić? Nadzór jest po prostu dużo większy. Jest to piękne, bo przeciwdziała destrukcyjnym zachowaniom społecznym i pozwala ponadto ograniczyć siły policyjne. Wydaje mi się, że w porównaniu z dniem dzisiejszym wystarczyłoby 10% stanu policji.

W takiej sytuacji problem byłby odwrotny. Jeżeli, przedstawię się jako *ibu*, jako człowiek, ile takiej społecznej kontroli mogę wytrzymać? To może być problem. Kwestia dotyczy odpowiednich proporcji w tej mieszance. W przypadku braku kontroli społecznej powstają warunki getta, chaos i anarchia w najgorszym wydaniu, a na każdym poziomie potrzebny jest policjant. To nie jest dobra sytuacja. Ale z drugiej strony musi być jakaś możliwość obrony własnej przed taką wewnętrzną kontrolą. Jednym z takich obszarów obrony to wielkość. W przypad-

ku 500 osób podstawowy stopień anonimowości jest zachowany. Wtedy można robić różne rzeczy, *bolo* może mieć kilka wejść i wyjść tak, aby nikt nas nie spostrzegł. W mniejszych *bolo*, taka wewnętrzna kontrola prawdopodobnie zamieniłaby się w koszmar. Większe *bolo* byłyby zdecydowanie dużo bardziej sensowne.

Bolo mają globalne *bolokontrakty*. Mogę się wyprowadzić kiedykolwiek po złożeniu wypowiedzenia, a każde *bolo* ma 10% wolnego potencjału dla osób, które chcą zamieszkać jako goście, ale może zostać na dłużej. Mogę się swobodnie przeprowadzać. Ludzie przestaliby być zbyt restrykcyjni w kontekście kontroli społecznej, ponieważ musieliby się liczyć z tym, co ja zostawię.

Mówiąc o *bolo*, niebezpieczeństwo jest takie, że ludzie postrzegają je jako struktury izolacjonistyczne, trochę jak wielkie komuny z lat siedemdziesiątych. Ja chciałbym się jak najbardziej oddzielić od tej wizji. Dla mnie *bolo* to efektywne organizacje obywatelskie. Wchodzi się do nich na zasadzie kontraktu i tak samo można je opuścić. Możesz wnieść swoje bogactwo, ale w przypadku rezygnacji te same dobra wynosisz ze sobą. To nie są komuny. Wewnątrz są rodziny lub grupy kolektywne a także osoby indywidualne. Wszyscy mają swoje sfery prywatności. Mogą istnieć *bolo*, w których ludzie będą chcieli spać w wielkich sypialniach, nie można ich od tego powstrzymać, tak też jest w porządku. Ale mogą być także organizacje bardziej zakonne w swoim charakterze.

Czego nam oczywiście potrzeba to planetarny kontrakt na *bolo*, i dla mnie, byłoby to te 10% przestrzeni mieszkalnej, zapasów żywności, które każde *bolo* ma zarezerwowane dla gości, co zapobiegnie jakimkolwiek tendencjom izolacjonistycznym. Każde *bolo* musi być przynajmniej w jakimś stopniu otwarte.